№ 33.

WARSZAWA, DNIA 13 SIERPNIA 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA, **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 596 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

(Dokończenie.)

PRZYJACIEL OJCA, KOZA, ZIMNA KOMÓRKA.

Mimo, że strzegłem się moich przełożonych, bo żartować z niemi nie można było, choćbyś tam był jaśnie oświecony, przecież dwa razy pamiętam oberwała mi się koza, a jaka koza! W Boże Narodzenie mróz był siarczysty. Szwadron wystąpił na kościelną paradę. Każdy pluton był wprzód obejrzany od stóp do głów przez swego wachmistrza, a potém przez porucznika, nim wystąpił do kapitana. A mieliśmy komendantem porucznika L.... postrach młodych żołnierzy, tyrana i dziwaka niesłychanego. Dla mnie miał on szczególne względy, a to z téj racji, że w przechodzie wojsk w r. 1812 stał kwaterą w dobrach mego stryja, znał go osobiście i mego ojca także, jednak żeby mnie nie zepsuć nic mi nie darował i gromił niemiłosiernie. Otóż w czasie lustracji na tę paradę, obchodząc od prawego do lewego skrzydła, cóś każdemu nakiwawszy pod nosem, przyszedł do mnie. Patrzy, ogląda bieliznę, mundur, broń, wszystko czysto jak należy. Ale wtém spostrzegł, żem nieogolony, a ja się wcale jeszcze nie goliłem, bom nie miał co.

— „Co? ty nieogolony?” zawołał z gniewem, „co? jak? Dlaczegoś nie ogolony kadecie? miljon....”

— „Nie golę się jeszcze panie poruczniku” odrzekłem z pokorą.

— „Nie golisz się? dlaczego? o widzisz, i zaczął mi z brody targać po jednym meszku, co się dopiéro zaczął sypać. W oczach gwiazdy mi stanęły, łzy pociekły po zmarzłych policzkach, ale stałem jak słup wyprężony, bo się skrzywić nie wolno było. Obok mnie stał młody rekrut, pamiętam zwał się Kozieja, u niego dojrzał na pałaszu maleńką plamkę rdzy.

— „Ha! ty rekrucie mięso! to ty nie masz siły wyczyścić sobie broni? Ty chamie, przed front!

Widzisz ten kadet, to panicz, chociaż on teraz biedny, bo mu za karę nic matka nie poséła i dobrze robi. Mógł lepiéj chodzić do szkoły, niż zostać ułanem i do tego lichym, a jednak za to, że się nie ogolił, pójdzie po paradzie do zimnéj komórki na 24 godzin. Wachmistrzu! pamiętaj rozebrać go i do zimnéj komórki po paradzie. A ty chłopie, boś ty chłop nie szlachcic, dostaniesz płazy."

Biédnemu Koziejowi odliczono 15 odlewanych płazów na plecy, a ja zmarznięty jak kość w kościele, późniéj rozebrany zupełnie, 24 godzin w zimnéj i ciemnéj komórce, przemarzyłem o głodzie nad marnościami świata. Ale nie na tém się skończyły moje nieszczęścia kozowe.

W wigilją Nowego roku byłem na warcie, właśnie godzina mojéj straży wypadła od 11 do 1 w nocy. Wiatr mroźny dął przeraźliwie, a w oczy sypało zmarzniętym śniegiem, jak tatarczaną kaszą. U tołuba nie było guzika, więc mi go wiatr co chwila zrywał. Chcąc więc jakoś urządzić, żeby się zapezpieczyć od przejmującego zimna, postawiłem pałasz obok budki strażnéj i chodząc, przypinałem sobie pod szyją ów nieszczęśliwy tołub. Aż naraz przy zwrocie, zetknąłem się oko w oko z naszym groźnym porucznikiem L. który mając służbę w garnizonie, włóczył się po nocy, obchodząc warty i stajnie.

— „A gdzie pałasz? co? gdzie pałasz?"

— „Tu jest panie poruczniku."

— „Tu? szyldwach pałasz z rąk śmie wypuścić. O! ty kadecie jakiś, nauczę ja cię służby, czekaj."

Tak mi się gorąco zrobiło, że tołub stał się prawie niepotrzebny.

— „Hej! komendant warty! Jutro po obluzunku do komórki go na 48 godzin o chlebie i o wodzie, a rozebrać paniczyka!

I poszedł, a ja znowu całe święto i następny jeszcze dzień po Nowym roku, pościłem i klałem w duszy przyjaciela mego ojca i stryja.

W lecie kiedy piechota wyszła do obozu, pułki kawalerji ściągały się na rewje i stawały po wsiach, a szwadrony rezerwowe szły na służbę do Zamościa. Ciężka to była służba.... W piérwszych dniach Października piechota wracała z obozu do Zamościa na zimę, i nas dopiéro luzowała z téj nieszczęśliwéj służby. Ja jednak nie wróciłem już do Węgrowa, ale odesłany zostałem do sztabu pułku w Lubartowie, z kilku innemi jeszcze, którzy znali służbę.

Gdyśmy przybyli do Lubartowa i stanęli na rynku, dowódzca półku Tomicki i sztab cały wyszedł obejrzéć nas i do właściwych szwadronów dołączyć. Naraz jeden, słyszę jednego z oficerów pytających się o mnie. Wnet wywołany zostałem przed front. Oficer ten popatrzywszy na mnie z uwagą, zapytał wreszcie.

— „Jesteś kuzynem jenerała Załuskiego?"

— „Tak jest," odrzekłem mocno zdziwiony tém pytaniem.

— „Jenerał polecił mi wasana i prosił o opiekę nad tobą. Tu oto jest list od niego. Przyjdziesz później do mojéj kwatery."

Tytułowanie *wasanem*, było to już pewném odznaczeniem mnie, używaném tylko względem kadetów i podoficerów, a dopiéro oficer bywał namaszczany na *pana*.

Przy odbiorze listu, poczułem że nie jest próżny, serce gwałtownie bić mi zaczęło, przeczuwałem bowiem, że położenie moje zmieni się od téj chwili. Jakoż tak się stało w istocie. Moi koledzy, którzy mnie dotąd z lekka traktowali, usłyszawszy że porucznik ma się wyłącznie mną opiekować, że jenerał jest moim kuzynem, widząc że odebrałem list od niego, naraz innemi stali się ludźmi, zaczęli mi nadskakiwać, kręcić się koło mnie, grzecznościami obsypywać i nieproszeni nawet, wszystko w tym dniu zrobili za mnie. Przeczuwali hultaje, że w liście były dukaty.

Jakoż w istocie zacny jenerał dowiedziawszy się od matki mojéj, że bez pomocy i protekcji sam zaciągnąłem się do wojska, poruczył mnie opiece dawnego swego znajomego porucznika L..., przysłał kilkanaście dukatów na oporządzenie, zachęcając do wytrwałości i przyrzekając pamiętać o mnie. Jakoż obietnicy téj dotrzymał, bo od owéj chwili niejeden już otrzymałem dowód dobroci jego serca. Porucznik jednak nie odpowiedział mojéj nadziei, i wziąwszy tylko do swego plutonu, najmniejszego nie dał dowodu swojéj o mnie pamięci.

Mając zatém pieniądze, sprawiłem sobie cienki mundur, przyjąłem ordynansa do posługi, i do tego owego Napoleończyka, co mnie tak w Węgrowie na przywitaniu zgromił, i odrzekał kiedykolwiek być moim kolegą. Teraz zobowiązał się za rubla na miesiąc czyścić mi konia, broń, suknie, i zostając u mnie aż do końca służby, był zawsze poczciwym, wiernym przywiązany bez granic. Wprądzie był zawsze dla mnie surowym, mrukliwym i z pewną wyższością, ale obok tego był sługą, przyjacielem, doradzcą, a w razie słabości, lub jak zostałem ranny, najtroskliwszą niańką, owo zgoła wszystkiém. W ogień za mnie skoczyć, wyrąbać się, wybić, było u niego niemal takim artykułem wiary, jak co dni dziesięć przy odbieraniu żołdu, upić się z urzędu.

Zostawszy kadetem dano mi urlop i pojechałem

do matki. Jakaż to była radość téj dobréj poczciwéj kobiéty i rodzeństwa mego, gdym pewnego wieczora naraz, niespodzianie stanął we drzwiach w ułańskim mundurze, to opisać trudno! Nie tak się może pyszniła i radowała Letycja Bonaparte w dzień koronacji syna swego, ile mną matka moja. Oglądano mnie do koła, prezentowano, dziwiono się wszystkiemu, ot! byłem bohaterem, wielkim człowiekiem! Mój Boże! jak mało człowiekowi do szczęścia potrzeba, gdy serca są skromne, kochające i niezepsute. Bawiłem przez dwa miesiące w domu, poczciwa matka zmogła się na tyle, że mi co miesiąc zapewniła złp. 30 dochodu, i tym sposobem wróciwszy z urlopu, już mogłem przyzwoite prowadzić życie.

W zimie szwadrony stały po małych miasteczkach w Padlaskiém województwie, na lato zaś zbierała cała dywizja ułanów pod Łęczną na rewje, które na błoniach dwa razy przypadały na tydzień. Zwykle w wilją rewji, wieczorem o godzinie 10 kulbaczono konie, dawano ranny obrok, o godzinie 12 wsiadano na koń, maszerowano noc całą, a o godzinie 4 rano ściągaliśmy się na plac. Tam oczyszczono się, każdy posilił się tém, co z sobą przywiózł, flaszeczkę wódki, kawał jakiego mięsa a czasami saméj tylko brykały, i czekano jenerałów. O godzinie ósméj rozpoczynały się manewra i trwały do godziny 1 lub 2, na godzinę zaś szóstą wieczorem dopiéro stawaliśmy głodni i znużemi na powrót w kwaterach.

Wspaniały to był widok dla przypatrującego się ten manewr całéj dywizji. Owe cztery kolory, amarant, biały, żółty i niebieski, na koniach jednéj maści, gniadych siwych, kasztanowych i karych, wyglądały zdala jak kwitnący mak. Na zimę ściągaliśmy do garnizonów.

Kto się nie przypatrzył nigdy z bliska w kwaterze lub obozie żołnierzowi naszemu, ten nie poweźmie już wyobrażenia o jego charakterze, o tych tysiącznych odcieniach jego dowcipu, przebiegłości, niepowstrzymanéj pochopności do ciągłych psot i figlów, owo zgoła nie pojmie tego humoru lekkiego, swobodno rubasznego, który w żadnym razie go nie odstępował. A każdy pułk miał kilku uprzywilejowanych do pustot wszelkiego rodzaju. U nas między innemi sławny był żołnierz nazwiskiem Sobota. Chociaż każdy miał swój chléb i mięso, i gospodyni powinna była dać tylko soli i ogień na kominie, przepisu jednak tego nie przestrzegano i na kwaterze gotowano co dom miał. Raz Sobota dostał kwaterę, gdzie mu nie chciano dać chleba, a swój zawsze zjadł drugiego dnia. Owóż zostawia on raz na stole maleńki kawałek chleba, suchy jak kość i troskliwie upomina gospodynię, żeby jego chleb przypadkiem gdzie nie zginął. Długo okruch ten chleba leżał na stole, aż nakoniec raz Sobota przychodzi do kwatery i zaraz chleba swego szuka, ale go nie znajduje, bo gdzieś się zapodział. Wpada więc na gospodynię z furją największą, z groźbami, domagając się chleba, i to koniecznie tego samego, co go położył. Biédna kobiéta daremnie się składa sumieniem, że nie widziała, wreszcie zawołała z rozpaczą:

— „Te święte obrazy na ścianie widziały, czym się chleba pańskiego dotknęła i chyba go święta ziemia pożarła."

— Tak? święte obrazy mówisz widziały, że ziemia pożarła? Ktoby to się tego spodziewał? No, no, ha! to będziemy w ziemi szukać.

I pochwyciwszy rydel, zaczął w izbie będącéj bez podłogi, dół kopać. Kiedy już wkopał się po pas, wchodzi jeden z jego kolegów i zastaje babę w kącie płaczącą, kopiec ziemi na środku izby a Sobotę w dole.

— „Co ty do djabła robisz Sobota?"

— „No widzisz, że kopię."

— „Ale na co?"

— „Szukam chleba."

— „Czyś oszalał?" Co on pijany? zapytał z cicha gospodyni, ale ta na odpowiedź w głos tylko zawodziła.

— „Nie bądź no warjatem, a powiedz, co to znaczy? Przecież nie myślisz tutaj grób sobie kopać, bo jeżeli życie ci zbrzydło, to ci tę przysługę z radością wszyscy szanowni obywatele Lubartowscy oddadzą, byle się raz pozbyli psotnika.

— „O! ja to wiem, ale nic z tego." Ot widzisz, biednemu człowiekowi kawałka chleba i ziemia zazdrości, i skarbowy mój chleb ziemia mi zjadła. Widziały to te święte obrazy, a więc kopię i będę kopał, dopóki mego chleba nie znajdę. I zaczął na nowo wyrzucać ziemię. Tu dopiéro kobiéta w prośby do przybyłego żołnierza o wstawienie się. I na tém stanęło, że zaniechał dalszych poszukiwań, pod warunkiem, bo oto tylko szło, żeby chleb gospodarski dla Soboty leżał na stole jak swój spożytkuje.

W inném znów miejscu, żydówka nic mu nieugotowała, tłumacząc się, że nie mą co. Kazał więc nastawić wody do ognia, i soli dostarczyć tyle ile zażąda, tak jak tego przepis dozwalał, mówiąc że sobie ugotuje własnych kartofli. Skoro wody przyniosła, nakład do garnka kamieni, osolił i począł warzyć. Całą noc kazał żydówce nosić drzewo na ogień, wodę solić i pilnować, aby nie skipiało, a on leżał na łóżku, palił fajkę i od czasu do cza-

su probował czy mniemane kartofle zmiękły. Ale nadaremnie, ranek zaświtał kartofle jak twarde tak twarde, mimo tego, zapowiedział wychodząc ze stajni, żeby się gotowały dopóki nie wróci. Skoro wrócił, zastał na misce bardzo porządne śniadanie i flaszkę wódki, inaczéj sól i drzewo byłyby więcéj kosztowały, gdyby gospodarze z Sobotą chcieli pójść na upór.

Jednego razu miał do nas przyjechać jenerał dywizji na lustrację. Oczekiwano go w całéj paradzie na warcie. Tymczasem jenerał z innéj strony do pułkownika przyjechał, a że miał konie świéżo kupione chimeryki, zażądał jakiego sprawnego żołnierza do koni, aby je z powozem tęgo po piaskach za miastem wyjeździł. Pułkownik posłał po Sobotę, który sławnie czwórką z kozła powoził. Po godzinie czasu, kiedy konie już doskonale umęczył, oddał lejce furmanowi jeneralskiemu, sam wsiadł w powóz i kazał wracać rynkiem. Warta nic nie wiedziała, że jenerał już od dwóch godzin u pułkownika. Na raz jeden, żołnierz daje znać do odwachu, że jenerał jedzie. Warta naturalnie występuje do broni, trębacz trąbi jenerałmarsza, oficer z uszanowaniem salutuje, a Sobota wychyla się z powozu i kłaniając się ręką woła:

— „Odstąpić, odstąpić, dziękuję, dziękuję."

Oficer zaklął, ale Sobota za tego figla dostał rubla od jenerała.

Komendant naszego szwadronu, był człowiekiem niezmiernie ordynarnym, bez wychowania i bez serca można powiedzieć. Opuszczony, z obwisłemi wąsami, w kurtce barankowéj w zimie, wiecznie z harapem w ręku, brał nas na rajdszul, a stojąc w środku trzaskał nam lub koniom nad uszami. Mnie zawsze nazywał chudym kadetem z powodu szczególnéj méj szczupłości. Bywało, gdy tak do koła niego jeździemy, on woła:

— „Panie chudy kadecie, pięty na dół! palce do konia, kolana do siebie!.... pierś naprzód!

I trzaska po koniu, który zaczyna ze mną chimerować, a ja prężę się całą siłą, aby wszystko wykonać ze swoją biédną figurą jak kazał. Niedługo jednak komendant woła:

— „Słyszy wason? pięty na dół! kolana do siebie, palce do konia!

I trzaskania się mnożą, dosięgające już mnie tą razą, a koń gdy coraz bardziéj ze mną harcuje, Komendant biegnąc także za mną, woła:

— „Ty chudy kadecie, sto djabłów zjadłeś! słyszysz? pięty na dół, kolana do siebie! kłusem!... osadzaj konia!

I to tak trwało, dopóki mu znowu który inny nie wpadł w oko i do niego się nie przyczepił.

---

* * *

Czy też uwierzycie, że ja, Janek z Bielca plebejusz głową i mową a chudeusz z zasady literackiego zawodu, wybrałem się zwyczajem całych-panów, pół-panów i niby-panów.... *na wojaż* w Sandomierskie strony. Zostawiając za sobą poważną Warszawę i wzdychający Radom, przystanąłem w okolicach Wisły, aby się nie rozstawać nigdy z fal jéj modrych tajemniczym szeptem. Przejeżdżając potém od komina do komina zawsze dymiącego, w sam dzień Ś. Anny, byłem na odpuście w jednym z parafjalnych kościołów, a wieczorem... w karczmie. Grono wieśniacze przytupując, wywijało to w prawo to w lewo, a ja oparty o ścianę patrzyłem i dumałem, błądząc myślami po wielkim gościńcu życia, co snując się od kolebki małą ścieżynką i wspinając coraz wyżéj i wyżéj pędzi potém zarastającą szybkością, jakby z pieca na łeb.... ku mogilnéj zaciszy.

— „Cóż, bawicie się?" zapytałem wychodzącego z tańca jednego z gospodarzy.

— „A juźci bawiémy się" odrzekł tanecznik obcierając mokre czoło, „dawniéj trudno było o uciechę, ale jak żydzi w całéj okolicy pobrali propinację...."

— „Jak to żydzi? zapytałem zdziwiony."

— „A tak żydzi, proszę pana, bo teraz w każde święto, grajkom ręce ustają a nam nogi....

— „I gardła zapewne" dodałem z przekorą.

— „Ba! niby panoskowie" odrzekł troszkę z szyderstwem, „uciekacie od tańca i kieliszka?"

— „Nie uciekamy mój bracie, ale bałamucimy tylko czasami, nie tak jak wy, co w każde święto prawie a nawet i nie w święto, musicie się popić i poawanturować.

— „Albo to prawda? Mój rodzic powiadali, że jak się zgodzili w Sadkowie do cugowych koni, to z panem tak się umówili, że rodzicowi tylko wtedy będzie wolno upić się i bałamucić, jak pan będzie trzeźwy. W pół roku rodzic mój podziękował za służbę, bo pana ani razu nie mógł dopatrzyć w trzeźwości, żeby znowu sam sobie pozwolił.

— „No mój bracie, takich niewielu, a chociaż bałamuctwa nie ma co chwalić, to jednak takiego opilstwa jak u was, co to gubi pamięć o Bożym świecie nie znajdzie między nami.

„Albo to prawda" odrzekł włościanin. „W młodych latach pamiętam dwóch panów, pana Sobe-

stjana i pana Klemensa. Grube to były persony a leli w siebie jak w beczkę. Jeździli do miasta krytą bryką, bo w powrocie w odkrytéj zawsze ich wino rozpiérało i wyrzucało na drogę. Raz padła na nich taka godzina, co pili i pili i nie mogli się upić. Zmartwili się tém nie ladajak, i na drugi dzień jak poprawili, tak pospali się przy stole jeden na przeciw drugiego. Wieczorem z jakiegoś łoskotu budzą się, podnoszą głowy, spoglądają na siebie ze zdziwieniem, i nie poznają się. Mrużą oczy, marszczą brwi, muskają wąsy, aż wreszcie wstaje pan Sobestjan i rzecze do pana Klemensa:

— „Mój jegomość, a z kimże mam honor siedzieć przy jednym stole? Jakże się jegomość nazywa?"

„Pan Klemens potarł się na to po czuprynie, machnął ręką, zająknął się, zawadził o wszystkich djabłów i odrzekł:"

— „Jak Boga kocham zapomniałem swego nazwiska i myślę, myślę i nie mogę sobie przypomnieć."

„To picie dopiéro, jakiego panosko między nami nie uświadczy..."

— „No zapewne mój bracie, aleć u nas nie wszyscy tacy przebrzydli opilcy...."

— „A u nas wszyscy?" zapytał włościanin.

— „Także niewszyscy, ale jeżeli nie piją tak ryczałtem, to się wszyscy biją, a przynajmniéj biją żony, czego u nas nigdy nie zobaczysz."

— „Albo to prawda" odrzekł niezmordowany w zaprzeczaniu włościanin, „mój rodzic powiadali, że hrabia u którego służył, gorzéj żył z żoną jak pies z kotem. Różnie bywało między niémi, a raz jak się zgniewał i śmignął na nią miednicą srebrną, to gdyby nie szafa, co się za nią schowała, pewnikiem byłaby trupem padła, bo miednica trafiła w ścianę przy któréj stała i tak się zgięła jakby ją kto zwinął i chciał schować do kieszeni.

Jeżeli hrabia tak sobie poczyna, to i między panoskami nie lepiéj bywa, a miednicę sam widziałem i nie mogłem się wydziwić, że tyle było siły w uderzeniu."

— „No, mój bracie, to już przynajmniéj przy zabawie, nie wodziémy się jak wy za łby, nie mordujemy...."

— „Albo to prawda? a pojedynkowanie co mi rodzic o niém opowiadał...."

— „Twój rodzic zawiele słyszał i widział" przerwałem niecierpliwie.

— „Ba! nawłóczył się dosyć po świecie, ale nie z próżniactwa i nie ze zbytku, tylko z pracy, to na słuchanie i patrzenie dosyć miał czasu. Ale kiedy rodzicowi w domu zdawało się, że jest w niebie, to hrabia włóczył się, ziewał i mówił, że mu tak nudno w Polsce, jak po lekarstwie. To też ja siedzę na ojcowiźnie, a hrabiego w naszéj okolicy nawet imię zatracone. Niech panosko z niczém się nie wynosi; u nas prostota i gruby obyczaj i rośniewa jak dęby i chojaki w lesie: u was ogłada i delikatność niby piękne domostwo, co choć spróchniało w środku a ładnie wygląda. Ale z dębów i chojaków może być wszystko, a ze spruchniałéj budowli nic, trochę tylko poliwa na ogień."

— „A naukę, a rozum nasz, to za nic nie masz?"

— „Rozum?" powtórzył zagadnięty, „ej! dałby panosko pokój takiéj przechwałce, ja patrzę tyle lat i nie wiele się go dopatrzyłem. Znajdą się między wami i poczciwi i rozumni i takich Bogu dzięki nie brakuje, ale czy wszyscy takiémi są? My prostactwo to nam wiele przepuścić należy, ale wy od dziecka uczycie się i uczycie, a nie możecie się nauczyć, że nas jeden Bóg stworzył, i że nikt jeden od drugiego podlejszym się nie urodził."

Na ten ostatni argument umilkłem i zwróciłem uwagę na zbytek w stroju dziewuch i gospodyń, dawniéj zupełnie nieznany. Chciałem coś bąknąć w tym przedmiocie, ale przyszły mi do myśli znane mi niektóre zbytnisie i przesadzone strojnisie i zamurowałem usta połykając wysuwające się z nich wyrazy, mówiąc w myśli:

O tym grzechu bądźmy cicho,
I nie budźmy gdy śpi licho.

Z WIKTORA HUGO. (Les Contemplations).

I.

Na egzemplarzu Komedji Boskiéj.

Raz wieczorem, spotkałem człowieka, szedł drogą,
Niby jak konsul rzymski owinięty togą —
A zdał mi się być czarnym, od niebios przezro-
[czy....

Po chwili się zatrzymał, utkwił we mnie oczy,
Błyszczące i głębokie, z wyrazem dzikości,
I rzekł mi: „Jam w dalekiéj był starożytności
Górą z czołem wyniosłém, pod niebios sklepienia
I duszą, senną jeszcze, rwąc się z mgły więzienia,
Szedłem coraz to wyżéj, po stworzeń drabinie....
Byłem dębem kapłanów, miałem i świątynie,
Dziwnych dźwięków mych przestrzeń słuchała milcząca,
Potém byłem lwem, marząc w pustyni bez końca,
Do ciemnych nocy, w groźnéj zwracałem się mowie,
Dzisiaj, jestem człowiekiem, i *Dantem* się zowię.

II.

Quia pulvis es.

Ci już odchodzą, ci zostają jeszcze,
Płacz ich i jęki, jak wichry i deszcze....
Proch i ród ludzki, giną w znikomości,
Jeden pęd wichru, w mgle świata, rozwiewa,
I głowy synów ludzkości,
I liście z drzewa!
Tłum pozostałych, do odeszłych woła:
„O wy nieszczęsni! zgasły wasze czoła!
Zgłuchły już dla was i dźwięki i słowa...
Wzrok wraz nie spojrzy ku niebieskiéj stronie,
Deska was zgniecie grobowa,
Noc was pochłonie!”
A odchodzących chór, tak obpowiada:
„Płacz wasz nam świadczy, że biada wam, biada!
Szczęście i chwała, dla was są złudzeniem,
Bóg, zmarłym daje królestwo prawdziwe,
Wyście widmem, przywidzeniem....
My dusze żywe!”

Jan Prusinowski.

ROZMAITOŚCI.

Abraham Stern. Izraelita ten urodzony w r. 1769 w mieście Hrubieszowie, z rodziców niezamożnych, od młodości okazywał wielkie zamiłowanie do mechaniki i rachunkowości. Walcząc z losem przeciwnym i miljonowemi trudnościami, a przedewszystkiém z brakiem pieniężnym, Stern ciągle zaprzątał myśl nowemi mechanicznemi pomysłami. On to ulepszył maszynerję w zegarach, wynalazł tryangul planimetryczny i wózek do zdejmowania planów: on piérwszy pomyślał i wykonał młocarnię, o czém dziś mało kto wié, a wyczytawszy doniesienie, że pewien kasjer, omyliwszy się w rachunku, i sądząc się być w deficycie odebrał sobie życie, postanowił ułożyć machinę arytmetyczną nieomylną. Po długim trudzie i mozole, model machinki w kształcie skrzyneczki korbą opatrzonéj, rozwiązującéj bez błędu cztery działania arytmetyczne, zrobiony został, i Stern postanowił złożyć go Staszycowi, jako dowód wdzięczności i osobistego dla męża tego szacunku.

Potrzebując bowiem koniecznie przejrzéć dzieła Kopernika, pewnego dnia poszedł do Bibljoteki publicznéj. Na widok czarnéj długiéj sukni, pejsów i mycki wchodzącego, obecni spojrzeli po sobie z wielkiém zadziwieniem, sekretarz zaś miejscowy przysunąwszy się bliżéj Sterna zapytał:

— „Czego żąda pan kupiec?”

— „Upraszam pana” odrzekł Izraelita, „abyś mi pozwolił w jakiém ustroniu przeczytać dzieła Kopernika.”

Sekretarz spojrzał niedowierzająco, a ulegając wstrętnemu wszystkich usposobieniu, oświadczył, że żądane dzieło znajduje się u profesora matematyki. Żyd skłonił się i zwrócił ku drzwiom, ale w téj chwili dał się słyszyć głos:

— „Abrahamie Stern pozostań.”

Był to głos zacnego Staszyca, który biorąc go za rękę przedstawił wszystkim obecnym, i polecił opiece samego bibljotekarza. Wstręt w téj chwili zniknął, znalazła się i żądana książka, pióro, papiér, atrament, bo w Sternie zapominano rodu, a zobaczono tylko człowieka nauki. Temu więc, co go publicznie może piérwszy uszanował postanowił wynalazek swój przedstawić i ów owoc długiéj pracy, wielu nocy bezsennych i niewysławionych trudów. Lękając się, aby niosąc piechotą drogocenną machinkę, nie naraził jéj na jakie w przejściu uszkodzenie, wybrał się do Staszyca jednokonnemi saneczkami, a machinkę umieścił na kolanach osłaniając ją przed pruszącym śniegiem, z zapomnieniem samego siebie, choć wiatr mroźny dął silnie od północy. Na zakręcie jakiejś ulicy z przeciwnéj stronie pokazały się sanki, szybko biegnące samym środkiem ulicy. Woźnica Sterna skręcił na bok, ale za mało i zapóźno, i nim się mógł zmiarkować, razem z samkami ze Sternem i z machinką rzucony został o ziemię. Uczony mąż oprócz przytłumienia uniknął cięższego szwanku, ale machinka w drobne potłuczona została kawałki. W krótce na nowo złożona i przedstawiona Towarzystwu Przyjaciół nauk, po odbytéj próbie, uzyskała ogólne uznanie, i Stern zapisany został w liczbę członków uczonego tego grona. Późniéj gościł często w Puławach u Księcia Adama Czartoryjskiego, i następnie obrany został członkiem komisji planu reformy dla Izraelitów polskich.

Nowości Zagraniczne

Petit courier des dames. W ozdobach i garnirunkach sukien wielka panuje rozmaitość. Niektóre wyszywają wstążką, lub materją odmiennego

koloru, więcéj jednak podobają nam się suknie z alpagi lub z bareżu, przybierane takąż samą materją, tylko cokolwiek jaśniejszą albo ciemniejszą niż suknia. Widzieliśmy takie suknie z alpagi Hawanna, naszyte u dołu plisami z materji jaśniejszéj, suknie popielate przybrane materją stalową. Przód spódnicy, przybierają rzędem guzików, z perłowéj konchy. Niekiedy te guziki dają po obu stronach przedniego bryta. Używają także guzików powleczonych materją, tego samego koloru jak garnirunek.

Szeroki pas morowy spięty na wielką sprzączkę stalową, lub emaljowaną stanowi dziś konieczne dopełnienie ubrania. Niekiedy z pod klamry spadają długie szarfy.

Kolczyki dochodzą dziś ogromnych rozmiarów. Noszą także bardzo okrągłe medaljony, emaljowane do fotografji lub włosów, zawieszone na złotym łańcuszku.

Do przybrania sukien i paletocików czysto wełnianych czy jedwabnych, używane powszechnie pasmanterje rozmaitego rodzaju; niektóre z nich mięszają z lawą czarną lub białą; frendzle, grelotki, taśmy, wszystko dziś zarówno przyjęte. Wiele także sukien wyszywają sutaszem i pletnią, tegoż samego lub ciemniejszego koloru.

Widzieliśmy w tych dniach suknią z alpagi popielatéj, gros poussiere, któréj opis przytaczamy dokładny. U dołu szła wąska falbanka, nad nią wstawka z gipiury czarnéj na fijołkowém podwleczeniu. Stanik z długą baskiną, obłożony był plisą fijołkową którą pokrywała gipiura. Kapelusik do tego popielaty okrągły, z fijołkowym i czarném piórem, ładnie odpowiadał całości.

Na lato w miejsce zwyczajnych krynolin, zalecamy klatki złożone z cienkich stalowych obrączek zwane *Cages Pompson*. Odznaczają się nadzwyczajną lekkością i zręcznym kształtem.

Korespondencja z Paryża.

Paryż d. 18 Lipca 1864 r.

O ubraniu tegoroczném to tylko powiedzieć możemy w ogólności, że taka w nim panuje przesada taki zbytek, iż niepodobna naśladować wszystkiego. Suknia najskromniejsza z alpagi lub bareżu, kosztuje nadzwyczaj wiele, z powodu ogromnéj ilości materjału wychodzącego na nią, i niezmiernie skomplikowanych ozdób. Wiele bardzo sukien, daje się widzieć na takichże samych spódnicach, wyszywanych plisami z materji, w rozmaite gzygzaki i treljaże. Wierzchnia spódnica ma przynajmniéj dziewięć łokci obwodu, spodnia najmniéj siedm, wyobraźmy sobie, ile kosztuje cały ubiór. Inne znów naszywają po dwadzieścia razy pasmanterją lub falbankami, nie mówiémy już o koronkach, gdyż te pochłaniają ogromne summy. Jeśli wspominamy te zbytki to wcale nie w myśli żeby zachęcać do nich panie nasze. Przeciwnie, radzibyśmy obudzić do nich wstręt powszechny, bo według nas prostota jest konieczným warunkiem dobrego smaku, a od téj prostoty zupełnie dziś odstąpiono.

Mówiliśmy już o kapeluszach bez karczków, teraz znów pojawiły się kapelusze bez główki z zarzuconą tylko od ronda chusteczką koronkową. Rondo nadzwyczajnie ścięte po bokach, tak że uszy z pod niego wyglądają, ma kształt jakiegoś daszka zachodzącego na czoło i przybranego pod spodem kwiatami. Najpiękniejsza nawet twarz, źle wydaje się w tak dziwacznym przystroju, kapelusik okrągły nierównie ładniéj i zręczniéj wygląda, mimo to Paryżanki używają go tylko na wsi lub u kąpieli morskich, w mieście niewiadomo dla czego uważają go za niedosyć przyzwoity.

Suknie z krótkiemi paletocikami lub nie wielkiemi rotondami powszechnie używane. Garnirunek u nich bywa rozmaity, najczęściéj wycinają dół w okrągłe nie wielkie zęby, które obejmują czarną lub ciemną wstążeczką. Z pod tych zębów wychodzi niekiedy falbanka fałdowana, wówczas ząb powinien być przytwierdzony guzikiem. Paletocik odpowiednio bywa przystrojony.

Widzieliśmy ładną suknię z materji gładkiéj fijołkowéj, z wąską u dołu falbaneczką nad którą szła szeroka czarna plisa, wycinana u góry w zęby obszyte wąską pasmanterją. Zamiast stanika szła prosta koszulka z takiejże saméj materji. Na wierzch dodany był kanzucik czarny jedwabny, spięty na szmuklerskie guziki, obszyty pasmanterją, z baskiną tak z przodu jak i z tyłu, i małemi epolecikami. Baskina i epolety składały się z trzech zębów. Młode panienki noszą spódnice kolorowe z białemi muszlinowemi lub półbatystowemi koszulkami, obciśnięte szwajcarskim pasem. Z pomiędzy koszulek podobała nam się bardzo muszlinowa, z szeroką z przodu listwą półbatystową, wyciętą z obu stron w zęby. Na ramionach szły takież same epolety, a u rąk odpowiednie mankieciki. Zęby te obszyte były wszędzie wąską marszczoną walansienką.

W ogólności kolor szafirowy, w różnych odcieniach, powszechnie używany, tak na suknie jedwabne, jak na kapelusze.

Wiele widziémy sukien naszywanych u dołu wstążką w deseń tworzący kokardy, osobne lub też połączone jedna z drugą. Inne naszywają ru-

szkami, dawanemi w ukośnym kierunku, od dołu spódnicy, na ćwierć łokcia w górę. Ładne to ubranie ale nie praktyczne do pieszego chodzenia, gdyż ruszki nabijają się kurzem.

Karczki skasowane u zwyczajnych kapeluszy, pojawiają się za to przy okrągłych kapelusikach. Jest to rodzaj półokrągłego woalika, spadający z tyłu na włosy, pojedyńczo, a niekiedy nawet podwójnie.

Suknie bareżowe gładkie lub w drobny rzucik, przybierają ruszą takąż samą, naszytą na spódnicy jednym rzędem w wielkie szpiczaste zęby. Ładnie to i świéżo wygląda.

Dreliszkowe popielate buciki, noszone powszechnie do lekkich sukien.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Przednia część karczka do koszuli nocnéj. Przed wykrojeniem gorsu trzeba uszyć drobne zakładki przystebnować pliskę skośną, do któréj się gładko przyszywa falbanka haftowana. — N. 2. Mankiet do téj koszuli powinien być tak obszerny, żeby ręka wolno przejść mogła. Koło szyi obszywa się marszczoną falbanką. — N. 3. Całość koszuli nocnéj. — N. 4. Połowa karczka do koszuli dziennéj. — N. 5. Połowa rękawa do tejże koszuli. — N. 6. Deseń na poszewkę. — N. 7. Kołnierzyk webowy naszyty trzy razy walansienką. — N. 8. Mankiet webowy przy rękawku półbatystowym. — N. 9 i 10. Mankiet i kołnierzyk webowy ze wstawkami i garnirunkiem z walansienki. Pod koronką płótno wycięte żeby wstawka była klarowna. — N. 11 i 12. Kołnierzyk i mankiet webowy w haftowane gwiazdki.— N. 13. Gwiazdka do powyższego kołnierzyka. Można ją zrobić na tle matowém albo przezroczystém tiulowem. — N. 14. Czepek z koronkowego czarnego fanszonu ubrany pąsowemi kwiatami i puklami aksamitnemi. — N. 15. Czepek złożony z bufek illuzjowych przegrodzonych aksamitką zieloną i przy twarzy aksamitka fałdowana. Na główkę spada chusteczka *katalanka* ze śpiczastym końcem nad czołem. — N. 16. Kaftanik *Figaro* z białego muszlinu, formujący kamizelkę i kaftanik, a jednak złożony z jednéj sztuki. W kamizelce zakładki idą w poprzek, w górnéj części która imituje kaftanik podłużne zakładki, zarówno dane na przodzie jak i na plecach. Cały kaftaniczek ozdobiony haftowaną wstawką i falbaneczką albo walansienką. Pod spód kładzie się stanik biały webowy wycięty. — N. 17. Ubranie głowy złożone z diademu aksamitnego z kwiatami, długie końce aksamitne spadają na tył głowy do wiązania. Nad kokiem wpięta gałązka kwiatów. — N. 18. Suknia fularowa *maïs* podniesiona na spódniczce z alpagi w pasy białe i szafirowe. Stanik z długą baskiną z wyłogami szafirowemi, przybrany guzikami i pasmanterją. Rękawy półotwarte z mankietami szafirowemi. Kamizelka z czasów Ludwika 16-go z białego fularu. Kaszkiecik *Windsor* ubrany strusiemi piórami i skrzydełkiem. Buciki wysokie na obcasach. — N. 19. Bluzka muszlinowa. Kołnierzyk i mankiety przy niéj webowe z haftowanemi pszczołami. — N. 20. Czepek w kształcie siatki z tiulu jedwabnego ozdobiony wstążką niebieską i blondyną. — N. 21. Kanzut muszlinowy naszyty aksamitką, z szarfami z tyłu związanemi. — N. 22. Czepek muszlinowy ze wstawką haftowaną, garnirowany ruszą z wązką koroneczką. — N. 23. Czepek z illuzji z główką spadającą. Wstążka aksamitna albo jedwabna przez główkę i stanowi szarfy do wiązania. Pukle ze wstążki spadają na główkę z jednéj i drugiéj strony. — N. 24. Kołnierzyk tiulowy z tyłu stojący, z wykładanemi rogami. Mankiet odpowiedni. — N. 25. Kołnierzyk i rękawek organtynowy ze skośnych plisek, nawleczonych aksamitem.

Opis formy paltocika wcinanego dla panienki, stanika z karoczkiem i woalki do okrągłego kapelusza.

N. 1. Przednia część paltocika. Można zrobić zaszywkę albo bez żadnego wcięcia. — N. 2. Boczek. — N. 3. Plecy. — N. 4. Połowa rękawa.— N. 5. Całość paltocika. Przybranie paltocika powinno być odpowiednie do materjału, jedwabne ozdabiają gipiurą i pasmanterją, wełniane fałdowaną falbaneczką, pliską jedwabną albo taśmą szmuklerską. — N. 6. Przednia część stanika z karoczkiem postyljońskim i dwoma bawetami zapina się z przodu na guziki szmuklerskie. — N. 7. Boczek z karoczkiem. Stanik zeszywa się do litery F. reszta klapki zostaje bez zeszycia —N. 8. Plecy zeszywają się z boczkiem do litery F. karoczek złożony z trzech klapek niezeszywanych. — N. 9. Połowa rękawa. — N. 10. Całość stanika z karoczkiem. — N. 11. Połowa epoleta do przodu rękawa. — N. 12. Druga połowa epoleta do pleców. — N. 13. Połowa mankieta do rękawa. Linja prosta stanowi otwór rękawa. Mankiet składa się z dwóch jednakowych części garnirowanych wstążeczką. Stanik obszyć można aksamitką albo wygarnirować wstążeczką. — N. 14. Forma woalki do okrągłego kapelusza, obszyta w koło koroneczką na dwa palce szeroką z frendzelką sznelową. — N. 15. Całość woalki.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się arkusz z deseniami do hafu i formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 13 Sierpnia 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Zaraz zaspokoję tę ciekawość, która wedle jezuitów jest grzechem śmiertelnym... Otóż ja naprzód człek wyżyty, nie wierzący w nic, znalazłem się tu, aby wam służyć za wystudziciela i odczarownika... Co tam było osobliwego lub pięknego? Stare mury w kwadrat, okryte malowaniami popsutemi i niewidocznemi, które wyobraźnia mogła sobie karykaturami Gavarniego i Daumier dopełniać... obszarpańcy niosący pochodnie, posągi pootłukane i dziwaczne, ni to muzeum, ni cmentarz, ni magazyn starożytności trzeciego rzędu... Panu Bogu równie się illuminacja nie udała jak stróżowi, pochodni było za mało i żaden piorun nie uderzył chociaż w cyprysy stojące w pośrodku, co gdyby było się trafiło, mogło być wcale nieszpetném... Zresztą lichota!! widzicie państwo, że ja to już w zgromadzeniu mam taką rolę jak w spiewaczych chórach mniszych *turbator chori*... Szanowany nasz gospodarz, mówił daléj wskazując Anglika, po to tam był, aby spił kwiat i śmietankę z obrazu, którego tylko zachować chciał stronę poetyczną, oryginalną, osobliwszą... Po co znaleźli się artyści, to jasna i niepotrzebująca tłomaczenia, jedni wyniosą jaką myśl, którą po swojemu wykrzywią, a drudzy zwątpią o sobie... Najtrudniéj mi będzie zrozumiéć, po co to tam byłaś pani? ale i to zdaje mi się nie Edypową zagadką. Widok ten był dla niéj orzeźwiającym, bo wcale inaczéj teraz wyglądasz, odzyskałaś pani humor, śmiałość, zdrowie, czego winszuję...

— A przynajmniéj gorączkę, szepnęła kobiéta, to pewna...

— Wszystko się na świecie tłomaczy, rzekł piérwszy, oprócz tego, dla czego herbata jest tak zła we Włoszech... a kobiéty tak brudne?

— O! to! przerwał garbus, który widocznie pragnął się popisać z dowcipem... i trochę zazdrościł piérwszému mowy, jak może być herbata dobrą tam gdzie jest niepotrzebną? W tutejszym klimacie to trucizna... kobiéty zaś są brudne, bo wiedzą, że są tak piękne, iż nawet powalane, do bóstw będą podobne...

Spojrzał na Włoszkę żonę artysty, która rzuciwszy nagle rękawiczki wyciągnęła ku niemu dwie przecudowne rączki białe jak kość słoniowa, wołając.

— Ale to potwarze! my się przecie czasem umywamy!

Wszyscy śmiać się zaczęli, Anglik dał brawo, guwernantka szwajcarka znajdowała tylko całą scenę, *d'un gout mediocre*, prawda że w niéj nie grała żadnéj roli.

Dwaj piesi artyści stali na uboczu, przywykli do wiejskich oberży, do albergów ubogich, do czarnego kwaśnego wina, séra i chleba, spoglądali na tę ucztę Baltazara okiem naiwnego łakomstwa i niewiary... rozmowa także wydawała się im wyrafinowaną rozpustą...

— Hę! rzekł wysoki, ktoby powiedział, że my do tego stołu zasiądziemy? to chyba sen, patrz, mięso! pieczyste! wino przezro-

czyste, chleb biały i świeży! i talerze jak zwierciadła czyste?

— Wiesz, odparł ciszéj drugi, wolałbym szklankę kwasu ladajakiego, kromkę czarnego chleba, byleśmy odzyskali swobodę... zabrnęliśmy nie w swój świat... możemy zabłądzić.

— Słuchaj, rzekł wysoki, a co nam on szkodzi, wszystko trzeba widzieć i wszystkiego sprobować, ponieważ nic nam zeń bądźmy w nim swobodni i nie dajmy mu sobie imponować. Do góry głowa, jak przystało na wychowańców Muz i Apollina... a z téj arystokracij naśmiejemy się do woli. Nie tchórz proszę... bo nasz zadepczą, we Włoszech artysta powinien się czuć królem.

— Ale ba, odrzekł drugi, królowie ci bez butów tu chodzą.

— Cóż? kiedy ciepło w nogi i ziemia miękka! buty są przeżytym przesądem, który obalić potrzeba jak wiele innych.

Wszyscy zaczęli zasiadać około długiego stołu, do którego Anglik zapraszał z rozmaitemi wrażeniami na twarzy, gospodarz uszczęśliwiony, pani jego sztywna, córka zmęczona, syn zgorszony, guwernantka kwaśna, garbus rozciekawiony i głodny, ubodzy artyści onieśmieleni, piękna pani w gorącce, pargaminowy człowiek mimo chłodu zdając się prawie gniewny, a para kochanków zajęta sobą... Słudzy poczęli roznosić...

— O ile niezwyczajnym, odezwał się garbus, był widok w Campo-Santo, o tyle i nasze zebranie u jednego stołu dziwném mi się wydaje, gdyż wyjąwszy *tavola rotonda*, przy któréj gromadzą się nic do siebie nie mówiąc ludzie zjednoczeni głodem i groszem jaki za obiad mają, nigdzie się nie spotyka towarzystwo tak urozmaicone, w dodatku nie możemy pozostać milczący, obcy sobie, sama przyzwoitość wymaga, abyśmy usta otworzyli i trochę się zbliżyli, choćbyśmy do tego nie mieli najmniejszéj ochoty, przyjęliśmy wezwanie, to obowiązuje...

— Do jakiego stopnia? odparł człek kwaśny, przestrzegłem gospodarza, dodał, że mu dolać mogę octu do herbaty moim humorem, wolno mi więc przypomnieć tu anegdotkę o Chopinie... którego ktoś zaprosił na obiad, a po obiedzie zmuszał do grania... Ja tak mało jadłem! rzekł cicho dowcipny artysta... Więc naprzód do jakiego stopnia obowiązani jesteśmy wywdzięczyć się spowiedzią myśli za herbatę!

Anglicy pobledli na to szyderstwo wymówione chłodno.

— *Schocking*! mruknął młody syn P. Price.

— A! a! przerwał gospodarz, zostawiam państwu zupełną swobodę, zawałał szybko, nie obowiązując do niczego, prócz do rozgoszczenia się dla nich samych jak najwygodniejszego. Kto chce milczéć, ma najzupełniejsze do tego prawo...

— Nie, zawołał garbus... ja inaczéj trzymam, zbliżył nas los nie nadarmo, powinniśmy jedni od drugich czegoś się nauczyć... proponuję jedno, rzekł: abyśmy się zameldowali i zapoznali z pochodzenia i rodu... To nikomu przykrem być nie meże...

— Jakto pan wiesz! zapytał pargaminowy, są narody i są rody do których przywiązane są przesądy... przeciw którym są zastarzałe wyobrażenia niesłuszne?

— Chociażby! rzekł Anglik... ale my wszyscy nie hołdujemy podobnym przesądom... ja obywatel kraju swobody, nie mam żadnych... miłoby każdemu z nas było wynieść ztąd pamiątkę osób, z któremi podzielał miłe i dziwne wrażenia tego wieczoru.

Służący hotelowy, jakby zrozumiał rozmowę, w téj chwili położył przed gospodarzem ogromny foljał w którym od lat wielu wpisywali się wszyscy goście... Obok wielu nazwisk stały tu sentencje, zdania, uwagi, wykrzykniki ciekawe...

— Wszyscy się wpiszmy z kolei, każdy z kilką słowy... to nas najlepiéj zapozna, zawałał garbaty...

— Zgoda, potwierdziło kilka głosów...

a potém rozmowa, znajomość pójdą już gładko i łatwo...

Przyniesiono kałamarz i pióra, które pisać znużone nie życzyły już sobie, ale je do tego zmuszono. Anglik piérwszy usiadł wygodnie i wielkiemi głoskami rozpoczął, pomyśliwszy chwilę:

Sir August Price Esquire...

Wypadło coś dodać, metodyczny turysta, dołożył naprzód datę, a poniżéj zanotował.

„Dzisiejszy dzień zostanie mi pamiętnym widokiem, którego myśl nastręczyła mi się w podróży z Genui... oglądaliśmy Campo-Santo przy świetle pochodni... uroczysto i wspaniale wyglądał wiekowy cmentarz w blaskach tych fantastycznych... Niebo samo podjęło się go dopełnić, zsyłając burzę, a po niéj księżyc... Cztery razy zmieniała się dekoracja i oświetlenie... mrok, pochodnie, błyskawice, światło księżyca urozmaiciły je, dusza moja jest przepełnioną... Cudownie!

Po gospodarzu ujęła pióro jego żona, niewiasta metodyczna i rozmyślała, co by dołożyć jéj wypadło, badając swe uczucia czuła się tylko bardzo zmęczoną, ale *schocking* było taką rzecz zapisywać, szło jéj o jakiś ogólnik przyzwoity, niezbyt wyrazisty a harmonizujący z notatką męża... Męczyło ją to, że oczy były na nią zwrócone, pospiesznie więc wpisała:

„M. Florence Price. Są cuda na ziemi i niebie, o których się ani śniło filozofom naszym."

To przypomnienie Shakspeara, jakkolwiek fraza była wyszarzana i sponiewierana tysiączném jéj używaniem, wywołało przyjemny uśmiech na twarz Sir Augusta, który się ucieszył, że jego żona się tak dobrze wywiązała z zadania.

Koléj przyszła na młodego opozycjonistę Roberta; który nie śmiał wszakże zapisać na wieki swego antagonizmu z ojcem na kartach księgi hotelu, zadumał się, umoczył pióro i grubo, zamaszysto wysmarował.

Robert Price Esq.—„*Helas! poor Yorick*„

Ta cytata ze Stern'a, miała najgłówniejszą zasadę, że była zupełnie niezrozumiała, dozwalała tylko przypuszczać, że Sir Robert był Yorykiem i że wrażenie podróży niezupełnie go zaspokajały. Ojciec lekko ruszył ramionami, książka poszła ku pannie Marij, od początku żywo już naradzającéj się z guwernantką szwajcarką nad tém, co miała wpisać w Album hotelu.

Nieśmiałą rączką, długą i chudą ujęła pióro panna Marja i pensjonarskim charakterem nakreśliła.

„Marie Price... Jestem bardzo szczęśliwą, dzieląc z rodzicami wrażenia téj cudownéj podróży."

Nie można było dziecinniéj i poczciwiéj młodéj panience wyłamać się z konieczności powiedzenia czegoś i niepowiedzenia nic, w istocie P. Marja w téj chwili czuła tylko lekki ból głowy i zębów, skutek wilgoci, i małą chętkę do snu, następstwo zmęczenia.

Panna Julja Joly, która jako guwernantka musiała górniéj wystrzelić, a bała się zbyt śmiałą myśl rzucić, wzięła pióro i pospieszyła po francuzku dodać pod uczennicą.

„Julie Joly... Najwspanialsze widoki zwracają myśl ku ojczyznie, nie zazdrości się obcym krajom, dziwi i tęskni."

Jak na Szwajcarkę było to wcale dobrze, trochę długo i niezbyt zaokrąglone, ale pośpiech tłomaczył wiele.

Księgę położono przed piękną panią, która zdjęła rękawiczkę, białą dłonią ujęła pióro, spojrzała na pargaminowego człowieka i żywo długiemi literami powłóczystemi, napisała po francuzku.

„Hrabina Adela Żywska, z domu Xiężniczka Męzka... Tu się nieco zatrzymała i dorzuciła po chwili." Pochodnie pogrzebu, gromy burzy, spokojne księżyca światło... cmentarz, i śmiechy, całe życie ludzkie w jednéj godzinie. A potém wszystkiém? stypa w gospodzie? możnaż co dodać do obrazu, dzięki Amfitrionowi."

Frazes był zadługi, chciał mówić za wiele,

nie wypowiedział nic prócz ogólnika, ale miał minę pokaźną... Malarz, który wziął książkę potém, przeczytał 'go i zawahał się trochę, zmuszony coś wpisać także. Wreście napisał nazwisko:

„Giovanni Sestini, Italio moja! cmentarzu wielki, jak że cię kochać łatwo... gdy tylu widokami, myślami, pamiątkami mówisz do serca! Niech żyje Italja!„

Wszyscy się dotąd zdobywali na nic nie mówiące ogólniki, jako ludzie przyzwoici, którzy przed publicznością nie rozbierają się do koszuli... towarzyszka P. Sestini, uśmiechnęła się do niego, spojrzała nań czule i drzącą rączką, toż przy nim wpisała.

— „Giulia Sestini. *Tutto con te mi piace*...„

Było by to niedarowanie pospolite, gdyby w tych kilku słowach piosenki nie wyrażało się głębokie uczucie, skromnie, cicho, nie potrzebując nawet wdzięczyć się przed ludźmi, szepnęła do ucha tylko miłemu, jedno, zawsze jedno, *Con te*! Towarzysz uścisnął jéj rękę... i uśmiechnęli się sobie, tylko sobie.

Z dwóch artystów siedzących za niemi, słuszniejszy wziął księgę do ręki, i podpisał się zamaszysto.

— „Herman Spauer von München, dodając motto.

Życie wyraża się w sztuce całe.

Po nim mniejszy zadumał się długo nad białą kartą, ale w końcu drobnym charakterem u spodu wyraźnie i starannie nakréślił.

— „Jacek Przeręba.„

Pomyślawszy nic nie znalazł nad bardzo pospolite *Ars longa vita brevis*. Niemiec siedzący przy nim uśmiechnął się z tego komunału i szepnął.

— Jest to stara bajka jak wiele innych... sztuka objawia się człowiekowi jak bóstwo, cała do razu w blasku swym i chwale, jak Bóg Mojżeszowi w ogniu i piorunach... ten co jéj po troszeczku, po kropli chce zebrać, nigdy jéj nie zrozumie, nie pojmie, nie ujrzy... Ale ci daruję tę herezją, bo nie wiedzieć, co tu pisać na popis... a myśl jest wstydliwa i obnażać się nie lubi, woli się parawanem takim osłonić.

Gdy szeptali, książka już poszła była daléj... pozostawali garbus, który pióro gryzł, bo chciał siarczystym dowcipem wystrzelić i pargaminowy człowiek, który poziewał.

Garbus, napisał swe nazwisko; Vicomte Anatole de la Meilleraie... i stanął. Nadto był dobrym sędzią, żeby się lada czém mógł zadowolnić, a doświadczał w téj chwili tego, co wielu bardzo ludzi, że na zawołanie dowcip przychodzi leniwo...

„Najczęściéj tak bywa, że gdy się zbierze dziesięciu rozumnych ludzi, jedenastu między niemi znajdzie się głupich, w skutek cudownéj siły stowarzyszenia."

Obejrzał się po przytomnych odsunąwszy księgę, a pargaminowy włożywszy szkiełka na nos, niewyraźnie nabazgrał...

„Hrabia Zygmunt Żywski...„ Życie jest potrawą, którą każdy przyprawia do swojego smaku, pieprzem, solą, octem, lub cukrem, a wszyscy po niem mają wargi spalone. Na tę zgagę nie ma doktora, mylę się jest jeden, śmierć."

Książka zaczęła krążyć z rąk do rąk...

— Ale mi się zdaje, rzekł garbus Vice hrabia, iż państwo nosicie jedno nazwisko? Jeżeli dobrze umiałem wyczytać?

Wszystkich oczy zwróciły się na panią Adelę i pargaminowego człowieka, milczano.

— Popełniłem może niedyskrecją, spytał garbaty... ale te imiona polskie, wszystkie są do siebie podobne... Karr powiada, że dosyć jest coś złamać i dodać *ski*, aby nazwisko Polaka utworzyć...

— Europa też dosyć nałamała historją naszą i pojęcia o nas, przerwał pan Jacek Przeręba, do swoich wyobrażeń dodając tylko *ski*, pisała całe nasze dzieje, wedle recepty pana Karr... i powstała z tego znakomita łamanina...

(d. c. n.)